ROZMAITOŚCI.

Dnia 14. Sierpnia. № 33. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Ustęp z dziennika podróży młodego Anglika.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 32. Rozmaitości.)

II.

W Independance zeszedł nam cały tydzień na kupnie mułów i wagonów, poczém udaliśmy się na płaszczyzny. Karawana nasza składała się ze stu wagonów i około dwustu ludzi. Dwa z tych ogromnych wozów zawierały w sobie cały mój ładunek. Do strzeżenia ich nająłem dwóch wysokich a chudych Missuryjczyków z długiemi włosami. Wziąłem także ze sobą jednego błędnego Kanadyjczyka, nazwiskiem Godé, który zarazem był mi sługą i towarzyszem.

Cóż się stało z owymi błyszczącymi *gentlemenami* z hotelu Plantatorów? Czy zostali gdzie w tyle? Wśród karawany, widać tylko ludzi w bluzach myśliwskich i w kapeluszach głęboko spadających na oczy... Tak — lecz pod cieniem tych kapeluszy znalazłbyś te same twarze, a pod temi grubemi bluzami łatwobyś odgadł owych wesołych towarzyszy, których niedawno poznałeś. Jedwab' i dyamenty zniknęły, a kupcy wystąpili w swoich podróżnych ubiorach.

Opis mojéj toalety dać może najlepsze wyobrażenie o ich stroju, gdyż starałem się ubrać zupełnie tak jak oni.

Wystawcie sobie bluzę myśliwską z wyprawnéj skóry daniela. Co do jéj kroju, nie mogę jéj lepiéj zcharakteryzować, jak porównywając ją do starożytnéj tuniki. Była ona koloru jasno-żółtego, ozdobna rozlicznemi wyszyciami i haftem, nie wielki jéj kołnierz otaczała frenzla, drobno z takiejże skóry krajana. Długie z czerwonego sukna kamasze, zachodzące aż na uda, przykrywały od góry grube spodnie, a od dołu spadały na ciężkie buty z miedzianemi ostrogami. Kolorowa bawełniana koszula, krawatka niebieska i kapelusz Gwajakwiski z szerokiemi kresami, dopełniały mojego stroju.

Za mną przytwierdzony do łęku, zwinięty na wałek, czerwienił się jaskrawo mój *mackinaw*, jedna z głównych części mego przyboru, bo służąca w nocy za łóżko i pościel, a we dnie za płaszcz od zimna i deszczu. W środku takiego *mackinaw* jest wycięta dziura, przez

którą wysadza się w razie potrzeby głowę, a reszta ciała zostaje w ten sposób wybornie okrytą, aż po kostki.

Jak powiedziałem, moi towarzysze byli wszyscy prawie tak samo ubrani. Różnice zachodziły tylko w kolorze bluz i kamaszy, albo w deseniu haftów, — ale w ogóle powyższy opis może służyć za charakterystyczny typ naszego stroju.

Uzbrojenie nasze i inne przybory były również podobne do siebie. Co do mnie, byłem uzbrojony od stóp do głów. Z olster moich sterczała para *rewolwerów* Colta, wielkiego kalibru, każdy o sześciu strzałach. Za pasem miałem parę mniejszych, po pięć strzałów każdy. Doliczywszy do tego lekką strzelbę, miałem więc na każde zawołanie dwadzieścia trzy wystrzały. Oprócz tego za pasem obok pistoletów błyszczała długa klinga tak zwanego *bowie-knife*. Narzędzie to służy zarazem za nóż myśliwski, i za nóż stołowy. Miałem też torbę myśliwską i róg z prochem przewieszony na plecy. Wreszcie duża tykwa z wodą i worek z żywnością dopełniały liczby moich przyborów.

O ile ubior i przybory nasze były do siebie podobne, o tyle różniły się między sobą nasze wierzchowce. Jedni jechali na mułach, drudzy na *mustenosach* *); mała liczba tylko siedziała na amerykańskich koniach. Ja należałem do téj liczby. Miałem konia skarogniadego; nogi jego przechodziły w zupełną czarność, a chrapy w kolor powiędłéj paproci. Był-to Arab pół krwi nader kształtnie zbudowany. Dawniejszy jego właściciel plantator luizyański, od którego go kupiłem, niewiem dla czego nazwał go był z hiszpańska *Moro*. Zostawiłem go przy tém nazwisku, bo je doskonale rozumiał. Był piękny, silny i ognisty. Wielu z moich towarzyszy zapaliło się do niego w czasie drogi, i ofiarowali mi zań znaczne sumy, ale nie myślałem go wcale pozbywać, bom się w nim zupełnie zakochał. Codziennie przywięzywałem się bardziéj do niego, a przywiązanie to dzielił z nim tylko ulubiony także mój pies z góry Ś. Bernarda imieniem *Alp*, którego kupiłem był w Saint-Louis od emigranta Szwajcara.

Jak się przekonywam z moich notat, podróż nasza przez łąki ciągła się kilka tygodni bez żadnego wypadku godniejszego uwagi. Wszystko jednak co mię otaczało, zajmowało mię niezmiernie, i nie pamiętam, żebym kiedy doświadczał podobnych wrażeń, jak na widok długiéj karawany naszych wagonów, które płynęły niby wśród łąk, wspinając się czasami zwolna pod lekki pagórek, a białemi płóciennemi grzbietami pięknie odrzynały się od ciemnéj zieleni otaczającéj je zewsząd roślinności. — W nocy obóz otoczony szańcem wagonów i konie powiązane u kołków na długich powódkach, przedstawiały widok niemniéj malowniczy. — Charakter okolicy był także dla mnie nowy, i dziwny na mnie urok wywierał. Biegi wód oznaczone były wysokiemi szpalerami drzew bawełnianych, których pnie do kolumn podobne, wieńczyły u góry gęste korony

*) Konie mexykańskie rasy hiszpańskiéj.

srebrzystego liścia. Te szpalery schodząc się na różnych punktach, tworzyły jakby pewne ogrodzenia, i przerzynały ogromne łąk przestrzenie w ten sposób, iż zdawało się, jakbyśmy jechali przez pola otoczone olbrzymim płotem.

Przebywaliśmy wiele strumieni; jedne w bród, przez drugie, które były szersze i głębsze, spławialiśmy nasze wozy. Czasami napotykaliśmy daniele i antylopy, a strzelcy nasi zabili ich kilka; niedotarliśmy jeszcze byli do kraju bawołów.

Niekiedy dla pokrzepienia sił zatrzymywaliśmy się przez cały dzień w jakiéj dolinie cienistéj, usłanéj bujną i gęstą trawą, skropionéj wodami przejrzystego strumyka. Od czasu do czasu przystawaliśmy dla naprawienia złamanego dyszla, lub strzaskanéj osi, albo musieliśmy dźwigać wagon zawięzgły w bagnisku.

Ja bardzo mało miałem kłopotu z moim pakunkiem. Moi Missuryjczykowie byli-to ludzie zręczni i silni, — umieli sobie radzić i wzajemnie pomagać w każdym razie, nie zawodząc zaraz przy najmniejszym wypadku owych srogich lamentów, jak gdyby już wszystko było stracone.

Trawy było dużo i tłustéj, nasze więc muły i woły zamiast chudnąć w drodze, codzień stawały się bardziéj opasłe. Dla mojego *Moro* miałem na swoich wagonach znaczny zasób kukuruzy, na któréj wyglądał wybornie.

Zbliżając się do *Arkansas*, dostrzegaliśmy niekiedy zdala przemykających się jeźdźców, którzy jednakże zaraz się kryli za pagórkami.

Byli-to Pawniowie. Przez kilka dni oddziały tych dzikich wojowników ukazywały się po skrzydłach naszéj karawany, lecz rozpoznawszy nasze siły, trzymały się od nas zawsze na strzał karabinowy.

Codziennie, bądź to wypadek jaki w podróży, bądź widok otaczającéj mię natury, nowe mi przynosił wrażenia. Mój Gode, który probował był kolejno wszystkich rodzajów życia, jakie w południowéj Ameryce praktykować można, w poufnéj rozmowie nauczył mię wielu szczegółów odnoszących się do życia śród łąk, dzięki którym nie wyglądałem jak nowicyusz między moimi towarzyszami.—

Saint-Vrain, którego charakter otwarty i szlachetny wzbudzał we mnie nieograniczoną ufność, nie szczędził ze swojéj strony wszelkich starań, aby mi podróż o ile możności uprzyjemnić. Tak więc pochody nasze śród dni cudnie pogodnych — straszne powieści opowiadane śród nocy na czuwaniu spędzonych, podniecały we mnie coraz silniéj namiętności do tego rodzaju życia. Dostałem *febry łąkowéj*.

Tak przynajmniéj mówili śmiejąc się moi towarzysze. Późniéj dopiéro pojąłem znaczenie tego słowa. Rzeczywiście byłem dotknięty tą dziwną chorobą, która mię opanowywała gwałtownie. Wspomnienia rodzinne poczęły się zacierać w moim umyśle, a z niemi razem znikały układy młodzieńczéj ambicyi. Rozkosze miejskie nie znajdowały już echa w mém sercu, — traciłem z pamięci wszystkie słodkie spojźrzenia, połyski bujnych warkoczy, i wszystkie wzru-

szenia miłości, tak obfitéj w udręczenia; — wszystkie te dawniejsze wrażenia znikały z przede mnie; zdawało się że nigdy nie istniały dla mnie, — żem ich nie doznał nigdy.

Siły moje umysłowe i fizyczne podniosły się niezmiernie. Czułem w umyśle rzeźwość, a w ciele siłę niezwykłą, których przedtém nie miałem. Znajdowałem rozkosz w ciągłym ruchu; krew płynęła prędzéj i goręcéj w moich żyłach, — wzrok mój stał się przenikliwszym, — mogłem patrzéć na słońce bez zmrużenia powiek.

Byłżebym wtedy przeniknióny tchem istności Bożéj, która zapełnia i ożywia te ogromne pustynie, i wśród których zdaje się zamieszkiwać chętniéj niż gdzieindziéj? Któż mi na to odpowie? *Febra łąkowa!* Czuję ją jeszcze teraz. Gdy to piszę, palce się moje kurczą, jakby cugle pochwycić chciały, kolana się prostują, wyprężają muskuły... Ściskam boki mojego szlachetnego *Moro*, i rzucam się wśród fal zielonéj łąki — morza.....

III.

Po piętnastu dniach dosiągnęliśmy brzegów Arkansas o sześć mil blizko poniżéj *Plumes-buttes* *). Wagony zatoczono do koła i stanęliśmy obozem.

Aż do téj chwili bardzo mało spotykaliśmy bawołów; te któreśmy widzieli, były-to po większéj części pojedynczo zabłąkane samce, dwie albo trzy najwięcéj samice, a i te nie dały się zbliżyć do siebie. Teraz właśnie dopiéro nadchodziła pora, w któréj zwierzęta te zwykły się łączyć w ogromne stada i trzymać się gromadnie.

— Aha! zawołał naraz Saint-Vrain, — otóż świéże mięso dla nas na kolacyą.

Zwróciliśmy wszyscy oczy w stronę północno-zachodnią, w którą skazywał mój przyjaciel. Na spadzistości małego pagórka ujźrzeliśmy pięć czarnych postaci rysujących się na tle horyzontu. Za jednym rzutem oka poznaliśmy, że to bawoły.

Rozsiodływaliśmy właśnie konie, gdy Saint-Vrain zrobił swoje spostrzeżenie, ale nagle jakby laską czarodziejską dotknięci, przyciągnęliśmy napowrót popręgi, opuściliśmy strzemiona, skoczyli na siodła i popędzili galopem.

Połowa prawie naszego towarzystwa puściła się z nami. Jedni jak np. ja, dla samego użycia przejażdżki w pełnym biegu, gdy tymczasem drudzy, mianowicie starzy strzelcy zdawali się czuć zapach świéżego mięsa.

Konie nasze nie były jeszcze zmęczone, szybko więc przebyliśmy przestrzeń, która nas dzieliła od zwierza, — ale tymczasem, bawoły nas zwietrzyły. Kilku z nas bowiem niedoświadczonych, a i ja byłem w ich liczbie, mimo przestróg starych myśliwych popędziliśmy wprost na rogaczów, które roztwarłszy nozdrza na przeciw wiatru, poczuły nas.

Jeden z nich podniósł kosmaty łeb, zawietrzył, uderzył w ziemię kopytem, wytarzał się i powstawszy popędził w stronę przeciwną, a za nim jego czteréj towarzysze.

---

*) Dosłownie: *pierzaste wzgórza.*

Pozostały nam więc tylko dwie ostateczności do wyboru: albo dać pokój całemu polowaniu, albo ścigać za uciekającemi bawołami. Chwyciliśmy się ostatniéj i przyśpieszyliśmy biegu.

Na raz zbliżyliśmy się do jakiejś linii, która nam się wydała nakształt muru, około sześć stóp wysokiego. Był-to jakby olbrzymi schód, rozdzielający dwie podniosłe równiny, a rozciągający się na prawo i na lewo, tak daleko jak tylko można było okiem zasięgnąć. Nigdzie nie było widać w nim najmniejszego wyłomu.

Wstrzymani tą przeszkodą zawahaliśmy się na chwilę. Niektórzy zrobili półobrotu w tył, i wrócili, gdy tymczasem sześciu, którzy na lepszych siedzieli koniach, między któremi był Saint-Vrain, mój Gode i ja, nie dając się tak łatwo odstręczyć, daliśmy koniom ostrogi i przesadziliśmy zawadę.

Od tego punktu musieliśmy jeszcze przebiedz pięć mil w pełnym galopie, i nareszcie okrywszy konie pianą doścignęliśmy najbliższéj nas samicy, która padła przeszyta tyloma kulami, ilu nas było strzelców.

Ponieważ pozostałe cztéry były za daleko, a zresztą ponieważ i tak mieliśmy dosyć mięsa, zatrzymaliśmy się, i zsiadłszy z koni przystąpiliśmy do rozebrania zwierzyny. Pod biegłym nożem myśliwych operacya ta nie długo trwała. Wtedy dopiéro mieliśmy czas obejźrzeć się w tył, i pomiarkować przestrzeń którąśmy ubiegli.

— Ośm mil, — ni mniéj ni więcéj! — zawołał ktoś.

— Jesteśmy tuż przy drodze, rzekł Saint-Vrain, wskazując palcem stare ślady kół, które znaczyły szlak przejazdu kupców z Santa-Fé.

— Cóż tedy?

— Jeżeli wrócimy do obozu, jutro rano będziemy musieli przebyć tę samę drogę. Zrobimy więc szesnaście mil nadaremnie.

— To prawda.

— A więc zostańmy tutaj. Mamy oto trawę i wodę — jest mięso bawole — mamy się czém okryć, i cóż nam więcéj potrzeba?...

— Ja myślę, żeby zostać na noc, gdzie jesteśmy.

— I ja także.

— I ja także.

W mgnieniu oka odpięliśmy popręgi, zdjęliśmy siodła, i zgonione konie poczęły gryźć smaczną trawę.

Strumień przejrzysty jak kryształ, a takie Hiszpanie nazywają *arroyo*, płynął na południe od Arkansas. U spadzistego brzegu tego strumienia wybraliśmy miejsce na nasz biwak. Założono ogień, i wkrótce piekły się przy nim potężne zrazy pieczeni, z których obficie wytapiająca się tłustość, skwiercząc padała w płomienie. Saint-Vrain i ja mieliśmy na szczęście przy sobie tykwy, a w każdéj z nich było po kwarcie czystego koniaku, — wieczerza więc nie była ostatnia. Starzy strzelcy mieli fajki i podostatkiem tytoniu, my mieliśmy cegara, posiliwszy się zatém, siedzieliśmy do późna w noc, otaczając się kłębami dymu, i słuchając strasznych powieści o przygodach śród gór zdarzonych.

Nareszcie czas było spocząć. Przyprowadzono więc konie bliżéj — skrócono im powrozy, i towarzysze moi owinąwszy się swojemi *mackinaw* i oparłszy głowy na siodłach wkrótce smaczno zasnęli.

Między innemi, był tam z nami niejaki Hibbets, któremu z powodu nadzwyczajnego jego ospalstwa, dano przydomek *śpioch*. Jego więc najprzód postawiono na straży, a to z uwagi, że piérwsze godziny nocy są zawsze najmniéj niebezpieczne, gdyż Indyanie napadają zwykle dopiéro wtenczas, gdy sen jest najmocniejszy, to jest przed samém świtaniem.

Hibbets zajął swoje stanowisko na najwyższym punkcie owéj spadzistości, zkąd mógł widziéć daleko na okolicę.

Nim noc zapadła, zauważałem był zachwycające jedno miejsce nad brzegiem *arroyo*, odległe blisko o dwieście kroków od legowiska moich towarzyszy; przyszła mi więc ochota tam się do snu ułożyć. Wziąwszy zatém strzelbę i płaszcz poszedłem w tę stronę, upomniawszy wprzód Hibbetsa, żeby mię ostrzegł w razie alarmu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KOMEDYA.

DRAMAT

Apollona Korzeniowskiego.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 21. 22. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. Rozmaitości.)

Akt III.

(Przy podniesieniu zasłony w salonie na kanapie siedzą: Lidia i Basia. Prezes na krześle ze strony Basi, Dutkiewicz koło niego. Po stronie Lidii, trochę opodal, oparty o poręcz krzesła, stoi Henryk i patrzy z niespokojnością na smutek i bladość Lidii, która utkwiła oczy w prezesa.)

Scena 1.

Prezes, Dutkiewicz, Henryk, Lidia. Basia.

Prezes *(zwrócony do Lidii, mówi poważnie).*

Tak! o! tak, moje dziécię! Dzis moja opieka,
To tego, swych praw wszelkich zupełnie się (zrzeka:
Kiedy o los twój chodzi, usuwam me zdania,
Me zasady, pojęcia, nawet przekonania.
Niech twoje własne serce wybiera i sądzi.
Za sercem idź, me dziécię; bo serce nie błądzi.
O! tak! o! bardzo rzadko!

(chrząka i pokazuje na marszałka)

Marszałek, *to tego*,
Wybrał mię na tłumacza uczucia swojego.
Nie taję, że mu sprzyjam; a szczerze sprzyjając,
Radbym mu schylić niebo, ciebie mu oddając;
Ale w téj sprawie, moje podrzędne są chęci;
Wyrzuć je, moje dziécię, ze swojéj pamięci:
Témbardziéj, że ja także waham się w téj dobie.

(pokazując na Henryka)

Gdyż inny zacny człowiek poleca się tobie;
Pan Henryk. Przeciw niemu ja nic nie mam także.
Radź, radź się swego serca! Jako ojciec wszakże,
Bo mi nazwać się godzi tém słodkiém imieniem;
Czuję się w obowiązku, mojém doświadczeniem

Oświecić dla cię wybór. O! łatwą mam drogę,
Bo tylko ich zalety wyliczać ci mogę.
Jeden i drugi, chociaż tak różni od siebie,
Zacni, i jednėm słowem, oba godni ciebie!

(pokazując na marszałka)

Pan marszałek przeze mnie o twą rękę prosi,
I robiąc nam ten zaszczyt, w ofierze przynosi
Majątek równy twemu. To właśnie dowodzi,
Że mu o posag wcale, *to tego*, nie chodzi.
Wspomniałem o majątku dla tėj to przyczyny,
Bo to nie najcelniejszy przymiot, nie jedyny;
Jego stan, wychowanie, odpowiedne twemu,
Imię piękne! A umiał imieniowi swemu
Dać rozgłos, który tylko echo pochwał budzi;
Przyjąwszy je, zdobywasz znaczenie śród ludzi!
Lecz nad wszystko, *to tego*, i to oczywista,
Miłość jego ku tobie stateczna i czysta,
Na dar twojego serca w pełni zasługuje.

(pokazując na Henryka)

Pan Henryk, gdyż się równie w obowiązku czuję
Nie przemilczyć i o nim.

Henryk *(przerywa giestem Prezesowi).*

O! przepraszam pana!
Ma miłość sercu pani jeśli nie jest znana,
Pan ją nie odmaluje słowy wymownemi;
Ale ja, nic, nic nie mam na tėj całėj ziemi!
Przez pana obraz dany, we mnie się nie ziści;
Co jest we mnie i moje, nie niesie korzyści!

(do Lidii)

Nad mą dumą zapewne litować się trzeba?
Sam i biedny, na ziemi, zapragnąłem nieba!
Lecz by na nie zasłużyć, ja tylko umiałem
Wymarzone me szczęście kochać. O! kochałem!
I me serce, którego stałaś się świętością,
Pojęło, jaką szczytną trza jaśnieć zacnością,
W jakich uroków blaski opromienić siebie,
Jak trzeba wznieść się bardzo, by być godnym
(ciebie!

(biorąc jėj rękę)

Dziś modlę się do pani.

Lidia *(powstaje zimna, obojętna i usuwa swą rękę).*

Niech pan puścić raczy
Moją rękę!

(z ironią)

Ten piękny frazes pewno znaczy:
Kocham panią nad życie!?

(po chwili milczenia)

Wierzę i dziękuję!
Lecz tak szczytnėj miłości godną się nie czuję.
Więc, że jėj się wyrzekam, pan pewno pozwoli?

(Henryk patrzy na nią w niemėm osłupieniu. Lidia zwraca się do marszałka z uśmiechem dobroci.)

Gdy wujaszek zostawił wybór mojėj woli;
Gdy muszę serca mego ogłaszać wrażenia;
Niech pan przyjmie wyrazy szczere dziękczy-
(nienia!
Być celem zacnych uczuć, to dumną być można,
Ja nią jestem, prawdziwie.

Głos służącego *(za drzwiami).*

Powiadam nie można!

Głos sekretarza *(za drzwiami).*

A ja nie myślę prosić!

(Wszyscy zdumieni. Prezes zerwał się niecierpliwie; Dutkiewicz ogląda się ciekawie; Basia marszczy czoło. Lidia jakby rada temu, usuwa się trochę i swobodnie oddycha. Henryk zaś stoi nieruchomy i w myślach zatopiony. Sekretarz wbiega do salonu, odtrącając służącego.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GWIAZDY.

1.

Każdy, mówią, ma swoją szczęsną i nieszczęsną gwiazdę. Wieczorek był piękny, zebrała mię ochota dopatrzyć i mojėj gwiazdki.

Bawiłem na wsi w kole miłych osób, lubych wdziękami i urodą. Wykradłem się, nie mówiąc i słowa z grona, niesiony żądzą szukać mėj gwiazdy na niebie, bo na ziemi rozsądny nikt jėj nie szuka, poło-

żyłem się na łace za parkiem na wznak, a oczy w niebo.

Noc była przepyszna, gwiazd bez liku, a wszystkie tak jasne, tak piękne, że prawdziwie męczyło, którę mam wybrać.

Chwile mijały, schodziło mi odwagi, a może i obawa wstrzymywała, którę miałbym sobie przyswoić; w tem postrzegam między gwiazdami jednę szczególniéj wspaniałą. Świetność jéj niewymowna, myślę w duszy: to moja gwiazda! to słońce nocy! Obok niéj wyglądały iune jak kaganki.

W uniesieniu zawołałem: „to moja gwiazda!“

Ledwom wymówił, a moja gwiazda nagle rozświeciła się światłością po całém niebie, strzeliła w przestrzenie dolne z powłokiem srebrzystym za sobą, i znikła prawie tuż przede mną: niknąc zdawało mi się, że całą naturę w smutek pogrąża.

2.

Nie znam nikogo zabobonniejszym nade mnie. Mówię to i nie chwalę się z tego; ale powiadam że kiedy gwiazda na niebie strzeli, to dla mnie nigdy obojętném.

A dla czego?

Pamiętam, chłopięciem jeszcze kochałem się namiętnie we wszystkiém, co widziałem na niebie. Byłem oczy podniósł do góry, już dostrzegałem rzeszę Serafów o słodkim wzroku a skrzydełkach ognistych; słowem co mi się tylko zachciało widzieć na niebie widziałem.

I jeszcze dziś wznoszę me oko w górę i szukam co-m dawniéj widywał. Czy mi się wzrok pogorszył? — Bóg raczy wiedzieć, ale moich uroków już więcéj nie dopatruję.

Plotę o mojém dzieciństwie, a miałem o gwiazdach mówić; lecz słówko muszę jeszcze wspomnieć o mojéj matce.

Stanęła raz ze mną u okna: — patrz, mówiła mi — co za noc piękna, a jakie gwiazdy jasne; te śliczne gwiazdki, to oczy aniołków, czuwają przez noc nad dziateczkami, a oczka te świecą tém jaśniéj z radości i pociechy, im dziécię było grzeczniejsze.

Jedna-to z niewinnych bajeczek co matki dzieciom opowiadają, a dzieci, szczęśliwe że wierzą, sycą się niemi. Dla tego, gdy wieczór nadchodził, nie było nade mnie chłopięcia korniejszego, czułem jak gwiazdki do mnie lgnęły. A gdy w dojrzalszym krewkość mię unosiła, mówiła matka: „strzeż się, anieli na cię patrzą“, a jam się strzegł, ażeby aniołowie się nie obrazili.

Lube gwiazdy, czém-że was wysławię? — Wszelka chwała płonna dla nich. Poeci mówią o gwiazdach: to perły złote, porównywali je z czém mogli, z dyamentami, i nie wiem z czém. Chrome to wszystko, gwiazda porównać się nie da. Romeo porównał je do oczu Julii: „gdyby oczy twoje, mówi, zajęły miejsce tych dwu najjaśniejszych gwiazd na niebie, ani by się postrzegł nikt na tém że zbywają, a ptaszęta śpiewałyby noc całą w gaiku.“ Powiadali także że one są kwiatuszki pod niebiosami. Jeszcze na to zezwoliłbym, bo piękne oczy lubię, i w kwiatuszkach się kocham, ale kwiatki więdnieją, a gwiazdy jeżli są kwiatami nie wioną, wiosna ich wieczna jak świat. A oczy, chociażby najpiękniejsze, przyjdzie czas na nie, zamkną się i nie otworzą; a lube gwiazdy nigdy się nie mroczą, wieczór za wieczorem tą samą i zawsze dziwną pięknością patrzą.

Z tego co mi matka mawiała pokochałem gwiazdy, i świętością mi były, a zacząłem bliżéj się z niemi oswajać, szczerze mówię, że jedynie z prawdziwéj miłości ku nim.

Ileż to przez nauki człowiek rzeczy nie roni! Dobrze by było czasami mieć oczy zawarte.

Co mi się działo, gdym się dowiedział, że moje lube oczka anielskie były to wielkie światy, szkaradne jak nasza ziemia światy, gdzie może i ludzie jak nasi!

3.

Od téj chwili stały się gwiazdy dla mnie tylko wspomnieniem, tylko cieniem tego czém niegdyś bywały dla mnie.

Ale wspomnienia, ale cienie lubéj przeszłości godzi się szanować.

Zabolało mię téż, widząc jak gwiazda do któréj jam się spowiadał, sprzyniewierzyła się i do ziemi spadła.

Ale-ż kto-to przewidzieć mógł, ażeby gwiazda tak piękna, i tyle była ułomną, i że na schyłku stała?

Często-m sobie potém wymawiał, kto wié, gdybym był jaką mniejszą, skromniejszą, nie tyle błyszczącą gwiazdkę obrał, możebym był i sobie zmartwienia ujął nie widząc jéj upadku. Ja, co zwykle bardzo pięknych rzeczy nie lubię, wielce chybiłem owego wieczora.

Tego nie mówię, żem ze zmartwienia mało nie umarł; ale przyznać muszę że spadku méj gwiazdy długo zapomnieć nie mogłem.

I jeszcze teraz, kiedy mię jakie nieszczęście dotknie, mimowolnie myślę, kto takiéj gwiazdy upadek widział, niech będzie na wszystko gotów.

Bóg cię zachowaj czytelniku od spadku gwiazdy.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*